

Usłyszałam ciche stuknięcie ostrożnie zamykanych drzwi, później stukot butów po bruku podwórka. Kroki były pośpieszne, oddalały się, cichły. W końcu zapanowała idealna cisza, przerywana tylko natarczywym brzęczeniem much. Jestem sama, przemknęło mi przez myśl, nareszcie sama. Przed chwilą Jelena zajrzała do pokoju. Zamknięte oczy i równy oddech upewniły ją w tym, że jeszcze śpię. Bezgłośnie przymknęła drzwi. Szybko wstałam. Muszę wykorzystać tę okazję, muszę to sprawdzić, myślałam intensywnie. To coś widziałam tylko jeden raz. Było to parę tygodni temu. Jelena szukała swetra dla mnie. Mignęło mi coś wtedy kolorami w głębi szafy. Wydało się znajome, moje... Drzwi starej szafy skrzyknęły przeraźliwie, odsłaniając przepastne wnętrze. Parę wieszaków, jakieś stare ubrania Alena: kurtki, koszule, spodnie... To na pewno musi być tu nadal. Przesuwałam coraz bardziej nerwowo kolejne wieszaki. Jest, na ostatnim wieszaku, pod starym płaszczem Jeleny, mignęły żywe kolory. Sukienka... Biały, cienki jedwab, malowany w żółto-zielono-błękitne kwiaty, zielone wykończenie dekolту, ciemnozielona falbana rozkloszowanej spódnicy, szeroki, jedwabny, szmaragdowy pasek. Delikatna, powiewna, niepasująca do posępnej i szarej zawartości szafy, niepasująca do tego domu. Upalny dzień, palmowa aleja, lekki wiatr unoszący delikatnie brzegi tkaniny... Powoli, jakby leniwie, zaczęły przesuwac się przed moimi oczyma obrazy. Jechaliśmy w milczeniu. Wysiadłam z samochodu, odwróciłam się, pomachałam mu

ręką, przyłożyłam rękę do ust w symbolicznym geście. Machnął mi ręką przez otwarte okienko. Nie odjechał od razu, czekał, aż odejdę, aż zniknę za załomem muru, tuż przy bramie prowadzącej na teren pałacu... Upał, żar lejący się z nieba, delikatny wiatr od morza... Bzdura, przemknęło mi przez myśl, tu niczego takiego nie ma. Jest tylko ten surowy pokój: drewniane łóżko ze sztywną lnianą pościelą, niczym nieprzykryty stół, dwa krzesła, stara drewniana szafa z równie starym lustrem, zimne, gołe ściany pobielone wapnem, jedna pusta ramka po stojącej tu kiedyś na komodzie czyjejs fotografii, okno wychodzące na skalny ogród... Ściągnęłam piżamę, z dziwną radością wciągnęłam na siebie sukienkę. Spojrzałam w stare, lekko matowe już lustro w drzwiach od szafy. Ręką przeczesałam włosy, uniosłam się lekko na palcach. Dziewczyna w lustrze miała długie kasztanowe, opadające na ramiona włosy, orzechowe oczy, ciemne brwi. Spróbowałam się poruszyć. Obróciłam się na palcach. Brzegi sukienki zawirowały radośnie.

– Kasiu, wyglądasz super, po prostu prześlicznie. Szkoda tylko, że nie dla mnie włożyłaś tę sukienkę. – Stał w półotwartych drzwiach, uśmiechał się ciepło, pogodnie. Jasne włosy, intensywnie niebieskie oczy...

– Musimy się pospieszyć – dodał szybko. – Nie tak łatwo jest o tej porze przejechać przez zatłoczone miasto.

– Pójdiesz ze mną? – spytałam.

– Nie. – Uśmiechnął się. – To wasze spotkanie. Muszę na chwilę podjechać do pracy. Przyjadę do was później, pojedziemy gdzieś razem. – Patrzył na mnie z narastającym rozbawieniem w oczach. – Chyba mi nie powiesz, że boisz się spotkać z Michałem...

Usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Serce zabiło mi szybciej. Ktoś, nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z niemiłym skrzypnięciem.

– Muszę je wreszcie naoliwić. – Alen stał w otwartych drzwiach. – Zawsze szkoda mi na to czasu... – Przerwał, jakby

w pół zdania. Patrzył na mnie z dziwnym wyrazem oczu. Nie było już możliwości, żeby się schować, przebrać, wskoczyć do łóżka, uciec za ścianę mocno zaciśniętych powiek i wysoko podciągniętego pod brodę przykrycia. Poczułam się nagle tak, jakby mnie złapał na gorącym uczynku bycia sobą. Mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Jego wzrok przesunął się po bosych stopach, wirujących jeszcze brzegach sukienki, wędrował w kierunku odsłoniętych ramion, ukradkiem przebiegł po twarzy. Serce biło mi jak oszalałe. Słyszając zbliżające się kroki Jeleny, jakby odruchowo zamknął drzwi. Nie ruszył się z miejsca. Nie przesunął się nawet o centymetr. Oparty plecami o ścianę, nie odrywał ode mnie wzroku.

– Przepraszam – rzuciłam niepewnie. – Nie powinnam była grzebać w szafie. – Wyjdź, przebiorę się.

– Za co przepraszasz? – powiedział to tak, jakby starał się szorstkością ukryć narastające zmieszanie. – Super wyglądasz w tej swojej sukience.



Było bardzo wcześnie, niebu nie udało się jeszcze przejść z granatu w letni błękit, wszędzie panowała mglista szarość. Od wielu tygodni wstawałam o świcie. O tej porze można było załapać się w porcie na rozładunek kutrów powracających z nocnego połowu. Zawsze przygotowywałam sobie wszystko już dzień wcześniej. Wracając, udawałam, że byłem trochę pobiegać. Wierzyła mi, ona wierzy mi zawsze... W końcu to było tylko drobne kłamstwo w dobrej wierze. Wymykałem się z domu jak najciszej, byle tylko nie zdenerwować Jeleny. Jej już pewnie na zawsze port będzie się kojarzyć z marynarzami, wódą i tym wszystkim, co było po moim rozstaniu z Marią. Wtedy było już bardzo źle, bardzo blisko dna... Teraz te wyprawy miały swój cel, wszystko było zupełnie inaczej. Nic mi ani nam już nie zagrażało, ale po co miała o tym wiedzieć, po co miała

się lękać, obawiać, myśleć, analizować i gdzieś podświadomie znowu się bać. Szybko wciągnąłem spodnie, koszulę, bluzę... Unikałem zbędnego światła, jakiegokolwiek hałasu. Golenie i mycie zostawiłem na później. W porcie nikogo nie interesowało, jak wyglądam. Przed pójściem do redakcji i tak zawsze musiałem zmyć z siebie pot i wszechobecny zapach ryb. Przez okno wdzierał się wyraźny poranny chłód. Buty, jak zawsze, wzięłem do ręki... Ich stukot po kamiennym korytarzu mógłby obudzić staruszkę. Chciałem jeszcze tylko na chwilę zajrzeć do kuchni, zjeść coś. Poruszałem się prawie bezszelestnie, nie zapalałem nawet światła, otworzyłem lodówkę...

– Alen! – Usłyszałem nagle za swoimi plecami głos Jeleny. Stałem jak sparaliżowany. Jelena siedziała przy stole w kuchni. Była już ubrana i uczesana, w swym wiecznym fartuchu, ze starannie upiętymi włosami, gotowa do codziennej krzątany.

– No co tak patrzysz? Coś nie tak? Przygotowałam ci kawę i kanapki... Trudno tak ciężko pracować o szklance mleka. Na mleku długo nie pociągniesz...

– Od kiedy wiesz? – Próbowałem burknięciem ukryć zaskoczenie.

– Chyba od początku. – Przyglądała mi się uważnie. – Alen, ja też jeszcze umiem liczyć. Fizjoterapeuci, psychoterapeuci, logopedzi... Dziesiątki ludzi przewijających się przez nasz dom prawie każdego dnia, kontrole w klinice, lepsze jedzenie... Twoja pensja w redakcji i moja renta już kiedyś z trudem starczały nam na życie. Ja wiem, że pomaga Davor i twoja redakcja, że trochę wspiera szpital, ale to wszystko jest ciągle mało – mówiła spokojnie, prawie ciepło. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

Tej naszej rozmowy sprzed paru miesięcy nie zapomnę nigdy. Okres pobytu Katariny na oddziale dobiegał końca. Byłem chyba już wszędzie. Poszukiwanie tamtego faceta stało się moją obsesją. Wspólnie z kumplem z policji stworzyliśmy nawet jego portret pamięciowy. Pokazywałem go dziesiątkom,

a może setkom ludzi. Przemierzyłem z nim w ręku całą wyspę i wszystkie chyba hotele, pensjonaty, restauracje i knajpy Splitu. Byłem wiele razy w porcie, na przystani, na lotnisku... Nie znalazłem go. Na nic się zdało wielokrotne pokazywanie zdjęcia Katariny w kronice policyjnej. Nikt nie zgłosił się w odpowiedzi na komunikaty. Z dnia na dzień czułem się coraz bardziej bezradny i pokonany. Policji też już zabrakło pomysłów. Doktor Peterson nie miał podstaw do zatrzymania jej dłużej na oddziale. Jej życiu nic już nie groziło. Dzień po dniu wyszukiwał jakiś nowy, wydumany powód, żeby jeszcze choć trochę przetrzymać ją w szpitalu, wydłużyć czas rehabilitacji, żeby jej jeszcze nie wypisywać, w każdym razie nie tam, nie do tamtego domu. Utrzymywało się porażenie prawostronne, zaburzenia mowy i zaburzenia pamięci. Tak mogło pozostać już na zawsze. Może udałoby się jeszcze coś poprawić, ale to wymagało mnóstwa czasu i mnóstwa pieniędzy. Szpital nie dysponował ani jednym, ani drugim. Codziennie Peterson stawał przed zarządem szpitala i codziennie walczył o kolejne dni dla Katariny. Tym razem przegrał. Następnego dnia miała być przetransportowana do tamtego domu. Pojechałem tam. Chciałem go zobaczyć. Stary budynek ukryty przed ludzkim wzrokiem za wysokim, szczelnym ceglany murem z ciężką metalową bramą. Kawalek zaniedbanego ogrodu, parę starych drzew, kilka już od wielu lat nieodnawianych ławek. Dziesiątki ludzi o różnym stopniu niepełnosprawności – ktoś siedzący na wózku, ktoś przemierzający się o kulach, ktoś posadzony na ławce, dziesiątki leżących na stałe w łózkach, czekających na zbawczą śmierć. Gdzieś tam przemykająca postać w habitacie zakonnic. Miłością, zbawieniem i krzyżem pewnie można ten cały bezmiar nieszczęść wytłumaczyć. Pamiętam siostrę Annę z Kosowa. Udało jej się uciec, inni zginęli. Powiedziała mi wtedy, że to wszystko jest jak droga krzyżowa. Ale ilu może być tych Jezusów na krzyżu i ile może być jeszcze na świecie tych krzyżowych dróg? Pielęgowani, myci, karmieni, ubierani,

sadzani na wózkach, kładzeni do łóżek, otoczeni automatyczną, wyuczoną poprawnością, pustymi gestami, obojętnością, zakreślonym znakiem krzyża. Ten dom to przechowalnia, to koniec, wyrok, przekreślenie szansy na normalność, wieczne czekanie na śmierć. Ten dom oznacza koniec walki, cichą akceptację wszystkiego, modlitwę, pokorę, krzyż. A mnie wydawało się zawsze, że trzeba walczyć do końca – z Bogiem albo bez Boga – że tylko wtedy życie ma jeszcze jakiś sens. Skazani na niepełnosprawność, izolowani, zapomniani przez Pana Boga, zapomniani przez innych ludzi. Peterson mówił, że to zawsze jest lepsze niż nic, że nie ma już żadnych innych możliwości, nie znalazł żadnego innego rozwiązania. Poszedłem do niej właściwie tylko po to, by się z nią pożegnać. W pierwszej chwili nawet mi ulżyło, że śpi. Nie musiałem nic mówić, niczego grać, niczego udawać ani przed nią, ani przed samym sobą. Nie było widać wyraźnie ją krępującej niezgrabności porażonych kończyn, zaburzeń mowy, zaburzeń pamięci. Przysłonięte żaluzje, delikatne cienie na jej twarzy, rozrzucone na poduszce włosy, spokojny oddech... To była ona, tamta dziewczyna z portu, ta nieznajoma z promu. Dziesiątki razy oglądałem zrobione tam zdjęcia. Pokazywałem je setkom ludzi. Obsesyjne szukanie śladów jej i tamtego mężczyzny przez ostatnich parę tygodni zajmowało mi całe dnie, nie dawało spać w nocy. Wsunięte w portfel zdjęcia stały się moją prywatną własnością. Tajemnicza nieznajoma teraz stała się jeszcze bardziej tajemnicza, niż była wtedy. Nagle przemknęło mi przez myśl, że straciłem w swoim życiu już tak wiele, że chyba nie stać mnie na kolejne straty. Wiatr ruszył delikatnie firankę. Cienie przesunęły się po poduszce, po włosach. Na krótki moment na jej twarzy zagościł niekontrolowany uśmiech. Nagle podjąłem decyzję. Ulżyło mi. Miałem dziwne wrażenie, że gdzieś tam w środku mnie zapadła ona już dawno. Poszedłem do Petersona. Był zszokowany.

– Pan chyba nie wie, czego chce się pan podjąć – mówił dziwnie poważnie, podejrzanie głośno. Wpatrywał się we mnie

natarczywie. – Mówiłem jej, co musimy zrobić. Myślę, że to rozumie. Będzie jej na początku na pewno ciężko, ale nie ma innego wyjścia. Wykorzystaliśmy wszelkie możliwości, zrobiliśmy dużo, bardzo dużo, więcej się w tej sytuacji zrobić nie da – usprawiedliwiał siebie, nas, naszą bezsilność, beznadziejny system ochrony zdrowia. – Na tym etapie jeszcze to zaakceptuje. Gdyby to miało stać się później, byłoby jej jeszcze ciężiej. – Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. To on pierwszy odwrócił wzrok. – Moja praca nauczyła mnie liczyć się z ludzkimi uczuciami. Człowiek to nie zabawka. Nie można jej, kiedy nam się już znudzi, kiedy nas już zmęczy, nagle odstawić na półkę, zamknąć w szafie, wyrzucić do kosza...

– Co pan insynuuje? Co próbuje mi pan powiedzieć? – przerwałem mu ostro. – Przecież pan mnie zupełnie nie zna...

– No, nie tak zupełnie. Jednak trochę się już znamy. Przez parę miesięcy widywaliśmy się prawie codziennie. Bardzo się pan w to wszystko zaangażował. Znałem też pana już wcześniej – świetny, goniący za sensacjami dziennikarz, szalony korespondent wojenny z Kosowa... Lubię czytać pana artykuły. Ja nie chcę z panem walczyć, pan mnie źle rozumiał, chcę tylko panu i jej oszczędzić niepotrzebnych cierpień – mówił już spokojniej, próbował tłumaczyć, złagodzić narastające napięcie. – Nikt nie wie, co będzie dalej. Mózg człowieka jest nieprzewidywalny, drzemią w nim prawie nieograniczone możliwości. Może zdarzyć się jeszcze jeden cud, chociaż już prawie cudem jest to, że ona nadal żyje. Może się okazać, że to, co osiągnęliśmy, to już wszystko, że nie wydarzy się nic więcej...

– Byłem tam – przerwałem mu. – Tam nic nie może się zdarzyć, nic nie może się udać. – Starłem się mówić w miarę spokojnie. – Ona potrzebuje domu. Bez domu nie ma żadnej, nawet najmniejszej szansy.

– Mówi pan: „dom”? – W głosie Petersona zabrzmiało zaskoczenie. – Zawsze myślałem, że lubi pan ryzyko, wartką

akcję, dreszczyk emocji, że żyje pan dzięki ciąglemu wysiewowi adrenaliny... Im niebezpieczniej, tym lepiej, tym ciekawiej, że tylko wtedy cieszy się pan pełnią życia, oddycha pan całą piersią...

– A jednak mnie pan zupełnie nie zna... – przerwałem mu.

– Mówi pan: „dom”? – powtórzył kolejny już raz.

Wiedziałem dobrze, o czym mówię. Gdyby wtedy, przed laty, Jelena nie stworzyła dla mnie domu, gdybym pozostał w tym sierocińcu, byłbym przegrany już na starcie, nie osiągnąłbym w życiu niczego, nie ruszyłbym się z miejsca. Byłem już dorosły, kiedy dowiedziałem się, że Jelena nie jest moją babcią. Niczego to między nami nie zmieniło, kochałem ją chyba jeszcze bardziej.

– Dom, nawet najbiedniejszy, to poczucie bezpieczeństwa, stabilności i pewności... To zaprzeczenie słów „nikt” i „niczyj”. To akceptacja.

– Mówi pan: „dom”, a jak jej to pan wytłumaczy?

– Teraz nie muszę nic mówić. Ona nic nie pamięta. Nie wie, kim jest, nie wie, kim my jesteśmy. Przywykła już do mnie. Widuje mnie każdego dnia – tłumaczyłem trochę jemu, a trochę samemu sobie. – Myślę, że powoli zaczynam należeć do jej świata. Na pewno utożsamia mnie sobie, w jakiś tylko dla niej zrozumiały sposób, ze swoim najbliższym otoczeniem. Chcę, a właściwie czuję, że muszę jej pomóc.

– A dlaczego właśnie pana dom?

– Nie ma przecież żadnego innego...

Nie odrywał ode mnie wzroku. Przeżuwał powoli każde wypowiedziane przeze mnie słowo.

– A co będzie, jeśli stanie się ten cud, jeśli wszystko się wycofa, jeśli wszystko sobie przypomni? Co pan wtedy zrobi?

– Nic.

– Jak to: „nic”? „Nic” to żadna odpowiedź. Nie rozumiem.

– Przecież chyba o to w tym wszystkim chodzi.

– Nadal nie rozumiem – powtórzył.

– Jeśli odnajdzie siebie, to odnajdzie swój prawdziwy świat. Przecież gdzieś tam, pewnie daleko stąd, musi mieć swój dom, bliskich, swoją codzienność...

Przyglądał mi się cały czas. Poczułem się nagle tak, jakby próbował mnie wzrokiem przeświecić na wyłot.

– Dziwnym jest pan człowiekiem – zabrzmiało nagle jak wyrzut. – Jakoś nie mogę pana wyczuć, nie mogę zrozumieć.

Nic dziwnego, pomyślałem, ja też nie zawsze siebie rozumiem.

Wstał. Zaczął spacerować po pokoju. Denerwowały mnie te jego kroki.

– Niech pan to wszystko jeszcze raz przemyśli. Może to tylko impuls, może tylko zrobiło się jej panu bardzo źal. Litość to słaba motywacja, prawdę mówiąc, żadna. Nic tak szybko nie wyblaknie i nie spłowieje jak litość. Ryzykuje pan własny spokój, własne życie, własną wygodę... Właściwie w imię czego? Może spotkajmy się za parę godzin...

– Zadzwoń – przerwałem mu. – Wypis zaplanowany jest już na jutro. Muszę jeszcze załatwić mnóstwo spraw.

Po wyjściu z kliniki zadzwoniłem do Davora.

– Stary, tyś chyba oszalał! – Davor nie potrafił ukryć zaskoczenia. – Mówiłem ci: „zimny profesjonalizm, zawodowa obojętność, żadnego sentymentalizmu...”. Zawsze byłeś mistrzem dystansu, dlatego dotąd jeszcze nic cię nie zabiło. Pokopało cię? Zdurniałeś czy co? Ten szok w Kosowie zabrał ci resztki rozumu?

– Ostatecznie zarobisz na tym. – To mogłem powiedzieć w ciemno. Mogłem być pewny, że to zadziała, zamknie mu usta, rozwieje wszelkie wątpliwości. Jego zawsze można było kupić. Na całym świecie liczyły się dla niego przede wszystkim pieniądze.

– Zarobię? – zainteresował się nagle. – A niby w jaki sposób?

– Wyobraź sobie, na przykład, cykl reportaży o przebiegu tej nietypowej terapii. Ludzie lubią takie rzeczy. Kupią to natychmiast. To będzie hit. Twoja gazeta będzie się sprzedawała jak ciepłe bułeczki.

Milczał. Znałem go dobrze. Teraz na pewno już nie miał żadnych skrupułów, żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości.

– Co za to chcesz? – padło konkretne, typowe dla Davora, czysto handlowe pytanie. Dla niego zawsze „coś” musiało być za „coś”, inne możliwości nie istniały. Był przewidywalny jak zawsze. Tylko na to czekałem.

– Chcę od ciebie trochę finansowego wsparcia. Dziewczyna potrzebuje dalszej terapii, to kosztuje sporo pieniędzy.

– A co będzie, jeśli to wszystko nie wyjdzie?

– Zawsze można się wycofać.

– Wycofać? – zabrzmiało z wyraźnym sarkazmem. – Oczywiście, wycofać można się zawsze, tylko że ty nie wycofujesz się nigdy. Ty jesteś jak czołg, który prze do przodu, jak maszyna, w której zaciął się wsteczny bieg. Ty, jeżeli powiesz „A”, to zawsze musisz powiedzieć „B”, nawet jeżeli w międzyczasie „A” okaże się niewypałem.

On zna mnie równie dobrze, jak ja jego, pomyślałem.

– Wchodzisz w to? – Musiałem się upewnić.

– Wchodzę, pewnie, że wchodzę – potwierdził skwapliwie. – Wchodzę, ale zupełnie cię nie rozumiem.

Do Petersona zadzwoniłem już z promu. Nie dyskutowałem ze mną więcej. Może to on, a nie ja, potrzebował tego czasu. Może to on musiał wszystko jeszcze raz przemyśleć. Obiecał, że załatwi wszystko z radą szpitala, że pomoże medycznie. Przez krótki moment wydawało mi się nawet, że mu ulżyło.

Największą wojnę stoczyłem tam, gdzie się tego zupełnie nie spodziewałem. Była to wojna z Jeleną. Tego niekontrolowanego wybuchu żalu, złości i niepokoju nie zapomnę nigdy.

– Alen, dlaczego znowu ty? Dlaczego my? Dlaczego całe życie tylko my...

Tego nie przewidziałem. Jej reakcją było zaprzeczeniem wszystkiego, czego uczyła mnie latami. Nie odpowiedziałem nic. Poczułem się nagle dziwnie rozczarowany. Wyszedłem, strzeliły tylko drzwi. Zacząłem przygotowywać pokój dla

Katariny. Jelena przysłała po chwili. Przyniosła czystą pościel. Zaczęła bez słowa przebierać łóżko, pomagać mi przy sprzątanii. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy na temat tamtej mojej decyzji. Teraz złapała mnie na gorącym uczynku kłamstwa.

– Przepraszam, nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię niepotrzebnie niepokoić – wymruczałem pod nosem.

– To ja przepraszam.



– Jedz!

Jelena postawiła przede mną talerz. Na talerzu wylądowały dwie kromki ciemnego chleba, odrobina sera, masło, miód. Do kubka nalała zimnego mleka. Dzbanek z mlekiem postawiła z rozmachem na stole. Krople chlapanęły na obrus. Nie wyszła z kuchni. Nigdy nie zostawiała mnie tutaj samej. To było jej królestwo. Każdy poza nią był tu intruzem. Wytarła ręce w lekko już przybrudzony fartuch, usiadła po drugiej stronie stołu, przyglądała się, jak powoli zabieram się do jedzenia. Chleb był wyjątkowo czerstwy, a ser wydawał się kwaśniejszy niż zwykle. Tylko mleko smakowało normalnie. Nie byłam głodna. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni czułam głód. Twardy, lekko kwaśny chleb nie zachęcał do jedzenia, stawał w gardle, z trudem dawał się przełknąć. Najpierw kęs chleba, a później natychmiast dwa łyki mleka. Przeszło. Teraz znowu kęs chleba, znowu szybko parę łyków... Badawczy wzrok Jeleny przesuwiał się po mojej twarzy.

– Nie smakuje ci – zabrzmiało jak stwierdzenie. Poczułam się winna.

– Nie, po prostu nie jestem głodna – próbowałam oponować.

– Nie poszłam dzisiaj na zakupy. Czekałam, aż wstaniesz. Chleb jest z wczoraj, twaróg także – zaczęła się niespodziewanie tłumaczyć. Jej głos zabrzmiał jakoś cieplej, inaczej. Jej twarz wyraźnie złagodniała. – Przyniosę ci trochę owoców

z ogrodu. Później pójdę do sklepu. Może chciałabyś coś wyjątkowego? – Jej duże oczy otoczone dziesiątkami drobnych zmarszczek spoglądały na mnie uważnie zza grubych szkieł okularów.

– Nie, kup to, co zawsze. Niczego innego nie potrzebuję.

– Może masz jednak na coś wyjątkową ochotę? Alen dostał premię w redakcji. Możemy trochę zaszaleć. – Mała staruszka patrzyła na mnie uważnie. – Przecież musisz coś lubić.

Pierogi z jagodami i słodką śmietaną, świeże drożdżowe ciasto, kompot z truskawek, sernik, pachnące letnim słońcem leśne poziomki, koktajl ze świeżo zerwanych malin... Przemknęło mi przez myśl.

– Nie, chyba nie ma niczego takiego... – skłamałam.

– A jednak o czymś pomyślałaś.

Jelena przyglądała mi się uważnie. Nie była już obca i zimna. Mała, ciepła staruszka, przemknęło mi przez myśl. Nagle uświadomiłam sobie, że znałam już kiedyś kogoś podobnego do niej.

– Przepraszam... – powiedziała niespodziewanie. – Jestem okropna. Od samego początku jestem dla ciebie okropna. Gdy usłyszałam, że u nas zamieszkaż, wróciły do mnie wszystkie wspomnienia. Po odejściu Marii Alen długo nie mógł się pozbierać. Trochę pisał, więcej włączył się bez celu, wypływał w morze, pił z marynarzami w porcie... Jeździł bez przerwy jako reporter wojenny do Kosowa. Twierdził, że nikt nie odczuje straty, jeśli go przypadkiem zabiją. Było nam ciężko. Ledwie trochę się pozbierał, ledwie wyszliśmy z długów i zaczęło się nam wieść trochę lepiej, poinformował mnie, że u nas zamieszkaż. Nieznana, obca dziewczyna, bez przeszłości, bez pochodzenia, znikąd. Odżyło we mnie wszystko... Tłumiony całymi latami żal za trudne życie wybuchnął z nową siłą. Przepraszam...

Siedziała skulona, zawstydzona tym, co mówi. Nerwowo bawiła się brzegiem fartucha.

– Wychowywałam Alena sama, jego rodzice gdzieś zapodziali się po drodze... – Na chwilę przestała uciekać wzrokiem,

spojrzała na mnie. – Ty w niczym nie jesteś podobna do Marii...
Ty niczemu nie jesteś winna...

Nagle zrobiło mi się jej żal.

– Przypomniałam sobie – przerwałam jej w pół słowa. Podniosła głowę, spojrzała na mnie zaskoczona. – Ja bardzo lubię pierogi.



Od paru godzin robiłam w kółko to samo. Najpierw fale ultrakrótkie, stacja po stacji, później krótkie, na końcu długie. I znowu od początku, i znowu jeszcze jeden, i jeszcze jeden raz. Z minuty na minutę czułam się coraz bardziej rozdrażniona, rozczarowana, zawiedziona. Nic, nie rozumiałam po prostu nic. Nie znałam żadnego z języków, którymi mówią ci ludzie. Coraz bardziej docierało do mojej świadomości to, że muszę być z daleka, że na pewno nie jestem stąd. Alen i Jelena rozmawiają ze mną po angielsku, ale ja myślę w zupełnie innym języku. Znam też niemiecki, ale i on jest obcym, wyuczonym językiem. Skąd ja, do diabła, jestem? Skąd pochodzę? Gdzie jest mój prawdziwy dom? Co ja tu robię? Obca wśród obcych, inna – inna przez swoją chorobę, inna, bo nie stąd, bo znikąd. Dlaczego nikt mnie nie szukał? Co zrobiłam, że nikomu na mnie nie zależało? Kim byłam, że nikt nie zauważył nawet mojego zniknięcia?... Dziesiątki pytań, które nurtują mnie każdego dnia, na które nie ma albo na które ja nie mogę znaleźć odpowiedzi. Kolejny raz od początku sprawdzałam wszystkie częstotliwości. Ten sam bełkot, wszystko obce, nieznanne, niezrozumiałe. Pustka.

– Co robisz? – Głos Alena rozległ się tuż za moimi plecami. Podskoczyłam jak oparzona. Nie słyszałam, żeby pukał. Nie usłyszałam, jak wchodził. Jelena mówiła, że Alen wróci dzisiaj trochę później. Nie spodziewałam się go jeszcze.

– Nic. – Próbowałam zapanować nad drżeniem głosu, nad szybkim biciem serca. – Bawię się radiem.

– Przestraszyłem cię? – Był zaskoczony. – Coś ty? Przestraszyłaś się mnie naprawdę? Przepraszam. – Wydawał się być zmieszany. – Długo stałem na podwórku, rozmawiając z Jeleną. Byłem pewny, że nas słyszysz. Dziwiłem się, że nie wyszłaś do nas. Stało się coś? Coś nie tak? – Przyglądał mi się wnikliwie.

– Nie, dlaczego?

– Jakoś dziwnie wyglądasz.

– Nie, nic. Wydaje ci się. Może tylko siedzę tu trochę za długo...

– Co robisz? Słuchasz radia?

Przesłuchanie, pomyślałam.

– Nie, szukam swoich.

Nim padło ostatnie słowo, już wiedziałam, że nie powinnam była tego mówić. Przez twarz Alena przebiegł dziwny grymas.

– Szukasz swoich? – spytał jakby rozdrażniony. Przez chwilę wydawało mi się, że nagle stracił kontrolę nad samym sobą. Obcy, znowu wrogi i obcy, przemknęło mi przez myśl. Serce, zamiast się uspokajać, biło jak oszalałe.

– My ci już nie wystarczamy – stwierdził zaczepnie. – My to za mało? My jesteśmy obcy, nie swoi? – Przez ułamek sekundy awantura wisiała na włosku.

Milczałam, nie zamierzałam z nim walczyć. On i tak mnie nigdy nie zrozumie.

– Szukasz swoich? – powtórzył. – Z tym radiem to zupełnie niezły pomysł. – Zabrzmiało nagle jakoś inaczej, przyjaźniej. Przysunął krzesło, usiadł tuż obok mnie. Pogłosił radio. Zmieniał powoli kanały, sprawdzał różne częstotliwości. Dawał mi czas. Nie ponaglał i nie pośpieszał, czekał, jakby liczył na to, że nagle gdzieś głęboko w mojej podświadomości coś jednak zaświta, coś zabrzmi blisko, znajomo.

– Nic – powiedziałam cicho. – Zupełnie nic, żadnych skojarzeń, zupełnie żadnych wspomnień.

– Nie maź się! – powiedział ciepło. – Znajdziesz kiedyś te swoje korzenie. Zobaczysz, że znajdziesz.

Peterson zadzwonił do mnie do redakcji. Mówił, że musimy się spotkać, najlepiej zaraz, natychmiast. Wyglądał na bardzo poruszonego. Nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Niech pan siada, Alen! – zaczął bez żadnego wstępu, gdy tylko przekroczyłem drzwi jego gabinetu. – Byłem dzisiaj rano u was. Rozmawiałem z Katariną. Coś wymyka nam się z rąk. Coś dzieje się nie tak. Chyba powoli zaczynamy nad tym tracić kontrolę...

– Był pan dzisiaj? – Nie mogłem ukryć zdziwienia. – Coś się zmieniło? Przecież zwykle spotykamy się w soboty...

– Rehabilitant dał mi znać, że już kolejny raz w tym tygodniu nie odbyła się rehabilitacja, że Katarina nie wstała z łóżka, nie ubrała się nawet, nie jadła śniadania, nie chciała z nikim rozmawiać... Psycholog również zgłosił, że w tym tygodniu nie odbyła się żadna psychoterapia. Katarina odmawia współpracy. Udaje, że śpi, leży w łóżku odwrócona twarzą w kierunku ściany. Rozmawiałem też z Jeleną. Mówi, że dziewczyna nie chce nic jeść... – wyliczał coraz szybciej, coraz głośniej. Jego zdenerwowanie narastało. – A pan, co pan ma mi do powiedzenia?

– Nic szczególnego. Wspominałem już trochę w zeszłym tygodniu...

– Co mi tu pan bredzi! Co pan wspominał w ubiegłym tygodniu? – przerwał mi gwałtownie. – Mam raporty z każdego naszego spotkania. Czytałem je dzisiaj już wiele razy. Mówił pan tylko, że od czasu do czasu wydaje się panu, że wracają jakieś dawne wspomnienia, że czasami dziewczyna zachowuje się dziwnie, jakby nagle, przez przypadek, przeszłość mieszała się z terażniejszością, jakby zatarły się granice...

– Wspominałem panu, że czasem jakiś drobiazg z terażniejszości wyzwała nagle całą lawinę wspomnień. Nie ma w tym żadnej chronologii, żadnego porządku, żadnego większego

sensu. Mam wrażenie, że ją to przeraża. Wzbudza niepewność. Rozmawialiśmy trochę o tym w zeszłym tygodniu...

– Tylko niepewność? – Peterson nie odrywał wzroku od mojej twarzy. – Niepewność czy rzeczywisty strach?

– Może i strach... Czasami wydaje mi się, że boi się czegoś nieokreślonego.

– Ile godzin dziennie spędza pan z Katariną?

– Całe popołudnia.

– I nie zauważył pan nic więcej? – Peterson powątpiewał. – Naprawdę, Alen, nie zauważył pan nic?

Nie odpowiedziałem do razu. Faktycznie w ostatnim czasie coś było nie tak. Częściej milczała, wiele razy widziałem w jej oczach łzy, bała się mnie, Jeleny, wszystkich i wszystkiego...

– Niewiele więcej – skłamałem przed nim i przed samym sobą.

W milczeniu podał mi kartkę.

– Skala depresji Becka? – Spojrzałem na niego pytająco. – „Stale odczuwam smutek, przygnębienie i nie mogę się uwolnić od tych uczuć” – zacząłem czytać na głos. – „Czuję, że przyszłość jest beznadziejna i nic tego nie zmieni, jestem zupełnie niewydolna i wszystko robię źle, nie potrafię przeżywać przyjemności i zadowolenia, wszystko mnie nuży, dość często miewam wyrzuty sumienia, nienawidzę siebie, winię siebie za wszelkie zło, ciągle chce mi się płakać, jestem stale zdenerwowana lub rozdrażniona, utraciłam wszelkie zainteresowanie innymi ludźmi, mam dużo trudności z podjęciem decyzji, z trudem rozpoczynam każdą czynność, budzę się kilka godzin za wcześnie i nie mogę zasnąć, jestem zbyt zmęczona, aby cokolwiek robić, nie mam w ogóle apetytu...”

– Czterdzieści dwa punkty... Ciężka depresja. Naprawdę pan tego nie zauważył?

– To tylko liczby... – próbowałem się bronić.

– Nie, to nie tylko liczby, to subiektywne zamienione na obiektywne, podejrzenie na pewność... Testy to narzędzie

psychiatrii. Do tego dochodzą zaburzenia lękowe, napady paniki. Mamy chyba problem, Alen...

Peterson chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie. Zatrzymywał się, aby po krótkiej chwili wznowić swoją wędrówkę.

– Wyjątkowa historia, wyjątkowa sytuacja – mrucał pod nosem. – Nie ma za wiele analogii w literaturze medycznej. Coś wymyka nam się z rąk. Coś, co dla nas jest sukcesem, dla niej nagle stało się tragedią. Nie jest w stanie się zaadaptować. Przeliczyliśmy się... Jej przeszłość... Za mało wiemy o jej przeszłości... Właściwie to nic o niej nie wiemy. Powiedział pan kiedyś, że jest piękna, że przypuszczalnie jest bogata, że na pewno jest wykształcona... Bzdura! To dużo za mało. Cholerna przeszłość, której nie udało się odkryć nawet hipnozą.

Nie przestawał chodzić tam i z powrotem. Coraz bardziej denerwowały mnie te jego kroki.

– A może to jest zupełnie inaczej? – Zatrzymał się nagle tuż przede mną. – Może to my się nie sprawdzamy? Może to my nie jesteśmy w stanie sprostać jej oczekiwaniom... Może rozczarowujemy ją każdego dnia...

– Nie wydaje mi się... – burknąłem.

– Wie pan, co ona mi dzisiaj powiedziała? – Popatrzył na mnie dziwnie. – Powiedziała, że z tego wszystkiego to najlepsza była tamta nicłość... Tamto wrażenie, że wszystko toczy się tylko tu i teraz, że to my budujemy jej świat.